WEN PARKER



# ŻYCIE, KTÓREGO NIE WYBRAŁAM

# Rozdział 1

– Każda z nas lubi wierzyć, że sama decyduje o swoim życiu – mówię. – Pomyślcie o mieście, w którym mieszkacie. Kiedy je wybrałyście? W dniu, w którym odebrałyście klucze do mieszkania? Czy dużo wcześniej, przy kolacji, kiedy ktoś powiedział, że z waszego miasteczka nigdy nie wyjedziecie?

Robię pauzę. Kobieta w pierwszym rzędzie przestaje notować. Kilka miejsc dalej ktoś odwraca telefon ekranem do kolan.

Od trzech kwadransów mówię o tym, co w książce nazwałam efektem rozwidlenia. Pamiętamy dzień przeprowadzki, ale czasem ani jednego słowa z rozmowy, po której naprawdę postanowiłyśmy wyjechać. Wiem, kiedy obniżyć głos i kiedy podnieść wzrok znad notatek. To mój dwusetny wykład. Dziś słucha mnie sześćset kobiet.

Mam już wyświetlić ostatni slajd, gdy do głowy przychodzi mi jeszcze jeden przykład.

– Wyobraźcie sobie dziewczynkę, która nie skończyła jeszcze trzech lat. Dorośli właśnie mówią jej, że od jutra będzie spała w innym domu. Pyta, czy może zabrać poduszkę. Jak myślicie, co zapamięta z tego dnia?

Kobieta z pierwszego rzędu unosi głowę. Czekam, choć wiem, że żadna z nas nie zna odpowiedzi.

Naciskam przycisk pilota. Za moimi plecami pojawia się ostatni slajd.

KTO NAPRAWDĘ DECYDUJE O TWOIM ŻYCIU?

– Warto czasem zapytać, czy decyzja, której trzymamy się od lat, w ogóle była nasza.

Przez chwilę nikt się nie rusza. Potem ktoś zaczyna klaskać. Kobieta w pierwszym rzędzie zamyka notes i wstaje, a za nią wstają kolejne osoby. Dziękuję i oddaję mikrofon. Dopiero wtedy zauważam, że w drugiej dłoni wciąż ściskam pilot.

Za kulisami pachnie kawą i kurzem opon z podziemnego parkingu.

Adam czeka przy drzwiach garderoby, oparty o framugę, z papierowym kubkiem w każdej dłoni. Granatowa marynarka, szare skronie, ten sam spokój, który pierwszego wieczoru, trzy lata temu, wzięłam za pewność siebie. Dopiero później zrozumiałam, że to coś innego: on po prostu nigdy nie pozwala, żeby coś go zaskoczyło.

– Flat white, mleko owsiane, bez cukru – mówi i podaje mi kubek, zanim zdążę go poprosić.

– Skąd wiedziałeś, że będę chciała właśnie tę?

– Bo po wykładzie zawsze chcesz właśnie tę.

Tak już jest. Adam wie, czego potrzebuję, zanim sama to zauważę. Jest w tym coś pięknego i coś jeszcze, o czym

staram się nie myśleć zbyt długo, bo wieczorem mamy kolację, a po kolacji spokój.

Przez szklane drzwi widzę dziewczynkę, która staje na palcach, żeby zajrzeć do sali. Matka przytrzymuje ją za kurtkę. Dziewczynka mi macha. Odpowiadam tym samym gestem, z kawą w drugiej dłoni.

Nie mam dzieci. Czasem o tym rozmawiamy. Adam mówi wtedy, że mamy czas, a ja z ulgą przyjmuję to zdanie. W kalendarzu nigdy nie mam go dość. Na dzieci mamy go pod dostatkiem.

Rano Adam przysłał mi zdjęcie tulipanów na naszym stole. „Będą na ciebie czekały". Teraz wystarczy mi ciepło kubka w dłoniach.

– Byłaś świetna – mówi i całuje mnie w skroń. – Ta część o małej dziewczynce. Nie było jej w tekście.

– Zdanie o wyborach napisałam w taksówce. Dziewczynka przyszła mi do głowy na scenie.

Unosi brew. Przez ułamek sekundy w jego twarzy coś się porusza, może zaskoczenie, może niepokój. Potem znika, jak zawsze.

– Improwizacja ci służy – mówi.

W kieszeni wibruje telefon. Zofia pisze: „Genialnie. Wino w piątek. Bez dyskusji". Odpisuję kciukiem. Zaraz potem na ekranie pojawia się nieznany numer z Pomorza.

Już mam go odrzucić. Odbieram, nie wiem dlaczego.

– Czy rozmawiam z panią Mirą Wolską? Roman Kruk, notariusz z Pucka. Mam testament pani Elizy Marczak. Czy może pani swobodnie rozmawiać?

Przez chwilę czekam na dalszy ciąg, bo to nazwisko nic mi nie mówi.

– Chyba zaszła pomyłka – odpowiadam. – Nie znam nikogo o takim nazwisku.

Po drugiej stronie robi się cicho. Nie jest to cisza zakłopotania, raczej cisza człowieka, który otwiera teczkę na właściwej stronie.

– Pani Wolska – mówi ostrożnie – urodziła się pani dwunastego września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku w Gdyni. Zgadza się?

– Zgadza.

– Pani Marczak wskazała panią w testamencie jako jedyną spadkobierczynię. Chodzi między innymi o dom na wybrzeżu.

Adam stoi dwa kroki ode mnie. Nie słucha, nie powinien słuchać, a jednak widzę, jak jego kciuk przestaje poruszać się po kubku.

– Panie mecenasie, myślę, że to musi być ktoś inny.

– Pani Eliza zostawiła mi dla pani również fotografię. Czy ma pani zdjęcia z wczesnego dzieciństwa?

Ściska mnie w żołądku, wolno, jak ktoś zaciągający pasek.

– Nie – odpowiadam. – Moja matka nie ma ich wcale. Zniszczyła je woda w piwnicy, dawno temu.

– Wyślę pani skan. Oryginał odbierze pani, jeśli zdecyduje się przyjechać. Jutro zadzwonię i wyjaśnię, jakie dokumenty będą potrzebne.

Rozłącza się.

Telefon wibruje jeszcze raz, krótko. Wiadomość od kancelarii. Załącznik: skan_01.jpg.

– Kto dzwonił? – pyta Adam.

Nie wiem, dlaczego go okłamuję. Odruchowo odwracam telefon ekranem do dłoni.

– Sprawa służbowa. Wydawnictwo.

– O tej porze?

– Wiesz, jak to jest.

Patrzy na mnie o sekundę za długo. Potem kiwa głową i mówi, że pójdzie po samochód.

Kiedy jego kroki cichną w korytarzu, siadam na starej kanapie w garderobie, między stosem plakatów a walizką z moimi książkami, i otwieram plik.

To wyblakłe zdjęcie z ząbkowanym białym brzegiem. Pod jasnym niebem trzy postacie oddalają się nadmorską ścieżką.

Dwie kobiety idą plecami do obiektywu. Ta z lewej ma jasną sukienkę, ta z prawej – ciemną, w drobny wzór. Między nimi idzie mała dziewczynka z warkoczem. Trzyma obie za ręce.

Powiększam obraz palcami. Żółta sukienka. Na kołnierzyku drobne czerwone wisienki.

Odkładam telefon na kolano, ekranem do dołu.

Znam tę sukienkę. Matka trzymała ją przez lata w kartonie na szafie, pod zimowymi swetrami. Pokazała mi ją raz, kiedy miałam szesnaście lat. Powiedziała wtedy, że to jedyna rzecz, która została z mojego dzieciństwa po powodzi, i żebym więcej o nią nie pytała.

Podnoszę telefon.

Na nadgarstku kobiety w ciemnej sukience dostrzegam cienką czerwoną nić, okręconą trzy razy i zawiązaną w supeł.

W garderobie jest bardzo cicho. Gdzieś za ścianą ktoś zwija kable, a sala, która jeszcze pięć minut temu klaskała mi na stojąco, opróżnia się z ludzi.

Zanim Adam wróci z samochodem, wybieram numer matki. Patrzę na dziewczynkę w żółtej sukience i czekam, aż Irena odbierze.